



Maria Konopnicka
(1842 — 1910)

Wrażenia z podróży (1884)

Ischl

Jeżeli kochasz przyrodę i chcesz wypatrzeć jej tajemnicze piękności, i posłyszeć jej gwary, a szумы, i uczuć jej pieszczotę pełną świeżości i siły — weź odzież wędrowca, kij w rękę i pójdź ze mną w góry.

Prócz kija — weź także parasol.

Jest on tu sprzętem niezbędnym. Można nie mieć całych butów, rozumu, pasportu, rodziny; można nie mieć przyjaciół, humoru, kredytu, dachu nad głową, ni centa w kieszeni, można nie mieć — nawet — nadziei; ale parasol mieć trzeba.

Ile głów w domu, ile łyżek w misy — tyle parasoli musi kupować nieszczęsny patriarchy rodu; zdaje się nawet, że bywa ją parasole zapasowe, czekające na pomnożenie błogosławieństwa Bożego.

Widziałam tu ludzi, którzy nosili pod pachą — dwa, trzy parasole: byli to prawdopodobnie biedni samotnicy, których wszystko w życiu odbiegło, zostawując tylko wspomnienia; — widziałam młode pary, tulące głowy pełne marzeń i uśmiechów — pod jeden szczęśliwy parasol, podczas gdy drugi miał smutny przywilej przeszkadzania dłoniom w uścisku; widziałam starców, którym parasol służył lepiej, niż własne, wlokące się bezwładnie nogi; widziałam dzieci harcujące konno na parasolach podczas ulewnego deszczu; — ale nie widziałam ani jednej tak upośledzonej od losu istoty, któraby parasola nie miała.

Z parasolem pod pachą wybiera się strzelec w góry; z parasolem chłop drzewo znosi; z parasolem idzie młoda dziewczyna obok pięknego górala, który uśmiechając się do niej, pokazuje białe zęby i niesie — także parasol.

Są parasole czerwone, niebieskie, zielone, czarne, szare, w kraty i gładkie; są parasole poważne, roztrzepane, melancholiczne, parasole wielkich nadziei, dyplomatyczne, gospodarskie, rodzinne, cyniczne, filuterne; są parasole wyzywające, filozoficzne, parasole, które nie mają nic do stracenia, ale zawsze — są.

Mniemam nawet, że mają one swoją charakterystykę odrębną, której udzielają piastującym je osobom — i niezmiernie żałuję, że czas nie pozwolił mi zbadać wyłącznie tego ciekawego przedmiotu.

Idziemy tedy w góry.

Po drodze spotykamy domki białe, świeżuchne, nęcące zielonością winogradów, rozpiętych po ścianach; stojące bez linii, tu, tam i jeszcze owdzie; patrzące okienkami, jak Bóg dał: to na wschód, to na zachód, to zgoła na wszystkie cztery strony świata.

Kokieteryją okienek tych stanowią żaluzyje i kwiaty. Żaluzyje — cieszą się prawie tak szerokim uznaniem — jak parasole.

Na drodze do Kaltenbach widziałam w kapliczce podróżnej obrazek, na którym Ś-ty Józef, zajęty ciesielską robotą, dopasowywa zielone żaluzyje do okienka w Nazarecie. Żaluzyje — to reguła, od której na pociechę wszystkich trzecio-klasistów, niema żadnego wyjątku.

Od willi cesarskiej aż do chaty drwała, zgubionej w głuchym lesie, widzimy je wszędzie i zawsze.

Po żaluzyjach — kwiaty. Kwiaty są wszędzie, gdzie są kobiety.

Niema tak ubogiego domku, gdzieby choć parę doniczek jaskrawego kwiecica nie stało za czystą szybką, lub na deseczce przybitej zewnątrz do ściany. Szczególniej pelargonije, pełne, duże, w różnych odcieniach, hodowane są z zamiłowaniem.

Tyle o oknach. — Co do samych domków, to kokieteryją ich stanowi snycerszczyzna.

Architektura tutejsza, fantastyczna, kapryśna, pozwalająca mieszkaniom ludzkim być prawie altanami, prawie gniazdami ptasiemi, improwizująca dachy wygięte, podlatujące w górę, uprawniająca szczyty i przystawki niemożliwe, rzucająca przejryste ganki na słupy, słupki i podpórki przeróżne, architektura ta daje gustowi do snycerszczyzny rozległe zastosowanie.

Lada gzymys, lada okap, lada deszczułka, dzierga się tu w zęby, w palmy, w arabski dziwne i obrzuca ciętą w drzewie koronka.

Nie jest to klasyczne — zapewne, — ale jest bardzo wdzięczne.

Przed każdym domkiem — kundys, ogródek — i dzieci.

O kundysie nie mam nic do powiedzenia. Jest to stworzenie Boże, które niema najmniejszego pojęcia o etnologii, lub politycznych ustrojach — zupełnie tak samo szczeka tu, jak kędyś na Mazowszu, pod Maćkowym płotem.

Ogródki utrzymywane wszędzie z wielkim staraniem. Obok głów kapuścianych, tak wielkich, że możnaby je nazwać głowami parlamentarnymi, obok dorodnych ćwikłowych buraków, widzieć tu można nieraz piękną herbacianą różę, na wysoko puszczonej łodydze rozkwitłą — i widocznie zażenowaną sąsiedztwem warzywa; co do gwoździków, astrów, ostróżek i innego liberalnego kwiecica, to brat za brat rosną one obok marchwi i cebuli, nic sobie nie robiąc z przesądów kastowych.

Dzieci — mnóstwo.

Nie wiem, czym się to dzieje, ale wszędzie w górach niezmiernie wiele jest dzieci.

Małe, maleńkie, jeszcze mniejsze, biega to, trzepie się, harcuje, po plotach się wiesz, a śmieje się, a szumi, a szczebiocze, jako stado szpaków.

Takich pośepnych, odętych, ciężkich w sobie dzieci, takich dzieci bałwanowatych, całymi dniami bezmyślnie na piasku, lub nad kałużą siedzących, na jakie z bólem po wioskach naszych patrzyłam, tu niema wcale.

Nie widać też owych śniadych, wychudzonych, w tył przegiętych dziewczątek, które zmuszone są piastować mało co mniejszego od nich samych Jaśka, ani tych zziąpanych, obdartych pastuszków, co to na bosaka po ścierniku uganiają się za jałowizną, gęśmi, albo trzodą chlewną i zalewając się gorzkimi łzami, klną, jako słyszą u starszych: a „hodajżeś! a żeby was!”...

Tego nie widać i nie słyhać tutaj.

Tu ludzie pozwalają, mogą pozwolić, dzieciom być — dziećmi.

Nic więc dziwnego, że każda zagroda rozlega się weselem i pustotą tego drobiazgu: nic dziwnego, że żadne z tych chłopiąt nie patrzy na ciebie z podełba i nie ucieka za węgiel; biorą one swój dział swobody w życiu — i rozwijają się normalnie, nie przytłoczone przedwczesnym jego ciężarem. Z dzieci tych wyrastają z czasem piękni, o gibkich ruchach mężczyźni i mniej wprawdzie piękne, ale z jakąś pogodą w twarzy chodzące, kobiety.

Może się to komu wyda śmiesznem z mojej strony, ale przyznać się muszę, że miałam nieraz serdeczną ochotę zagarnąć kupkę takich rumianych, czystych, bystrych dzieciaków, tak, jak to się w fartuch kurczęta zagarnia, dać im w piersi polskie serce, w usta polskie słowo, i wysypać kupkę taką w którejś z naszych wiosek — ot na pokaz poprostu.

Ale po roku, po dwu, nie chciałabym ich widzieć!

Zdawałoby się, że tam, gdzie jest taki domek, taki ogródek i takie dzieci — że już o kundysie nie wspomnę, to już chyba i szczęście, i spokój być musi; że ludzie, mieszkający w białych tych i zielonych gniazdach, kochać się muszą bardzo, bardzo!

— Różnie tu bywa — rzeki mi nieznamomy góral, którego zagadnęłam oto.

[...]

Kiedy poraz pierwszy zostawiłam za sobą kapryśne domków szeregi, ogródki i... ludzi, biała ścieżyna wybiegła przedemną i podjęła się być przewodnikiem moim.

Nie posiadała ona drogowskazów, co to zapytane o coś, odpowiadają ci półgębkiem, a zaledwie odwrócisz się od nich — wytykają cię drewnianymi palcami, jako niedołęgę, co u pierwszego lepszego, z gruba ociosanego pniaka, rozumu po drodze pożyczca.

Nie pędzono po niej nigdy ani bydła, ani rekruta; żaden garncarz nie rozsypał tu skorupy swojej nadziei, żaden panicz nie pędził tędy w konkury czwórka, za długi zajęta; żadna zapracowana szkapa nie padła tu pod ciężarem nad siły, z okiem

zagasłem, mdlejącem; żaden wóz skrzypiący, z czterech desek zbity, nie wywoził tędy trumny nędzarza; żaden nawet pajac nie prowadził nią uczonej małpy, wywracając po drodze koziołki.

Tak, przyznaję, nędzną była moja ścieżyna, pozbawioną wszelkich szans oglądania kiedykolwiek powyższych wielkich zjawisk życiowych.

Bo przypuściwszy nawet, co zresztą mało jest prawdopodobnym, że zostanie ona kiedyś jednym z głównych gościńców, będzie to chyba w tym roku zbawienia pańskiego, kiedy myszy zjedzą przywileje i patenta, a światło będzie jedynym drogowskazem ludzi.

Tymczasem jednak jest ona tak wąską i skromną, iż przekonana jestem najmocniej, jako żadne ministerjum komanikacyj lądowych i wodnych nic nie wie o jej istnieniu.

Taką to ścieżką cichą i nieznaną, chodzi duch, tchnąc życiem i światłem.

Stróże wielkich gościńców, którzy pilnując porządku, strzegą, aby nie wyrósł na nich kwiat polny; celniki, co stojąc po skrajach, biorą grosz celny od przelatującego motyla — ze zdumieniem kiedyś spostrzegą wśród miast i wiosek cichego tego pielgrzyma i pytać się będą — kędyby przeszedł?

I posypią się raporty; pióra po kancelaryjach skrzypieć będą od pisania nagan i dymisyj; spodziewane awanse i gratyfikacje przepadną, jak żyto na pniu gradem zbite, a biedny motyl — dwa grosze celne zamiast jednego płacić odtąd będzie zmuszonym.

A duch?

On pójdzie cichy i jasny — jak przyszedł — a wionie, kędy będzie chciał.

Ale wróćmy do mojej ścieżyny.

Wąska, lekko skręcona, nierówna, stopą górala zaimprovizowana na prędcę, nosiła ona na zwirach swoich ślady wszystkich ćwieków jego drewnianych podeszew; przecież szła krokiem tak lekkim, z taką swobodą zwracała się to w prawo, tak gibko wstępowała na faliste wzgórze, tak chyżo zbiegała na dół, że ani w myśli pozostało pytać ją o patent jakiś.

Ostatecznie, ślad drewnianej podeszwy jest także śladem cywilizacji.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, przechodził tedy człowiek, który nie miał może ani konia, ani woza, ani osła, ale niezawodnie miał parasol. Miał może przytem piosenkę na ustach, jak się to często zdarza tym, co nie mają ani konia, ani osła.

Z razu wszystko poszło dobrze.

Ścieżka moja zawiodła mnie w łąki, pełne kwiecica i porannych woni. Błękitne puchy dzikiej cykoryi, modre ostróżki, wielkie, białe rumianki, przetykały ciemną zielen traw w barwiste wzory.

Łąka była w pas, a powiewy poranne szły po mej, jak fala morzem. Ciężkie, okrągłe rosy, drżały na brzegach traw. Za łąką, ścieżka moja zaczęła bałamucić

z rozkwitłymi białymi targańcami, które to z lewej, to z prawej strony zabiegały jej drogę, pełne trzepotów ptasich i brzęku owadów.

Robiło się gorąco; śpieszyłam do cienia i chłodu.

Wkrótce łąka została daleko, a zaszedłszy całą natężonym światłem, dzwoniła ku mnie piosenkę świerszczów polnych i lilijowych dzwonek hejnałem. Naraz, przejrzyste cienie padły mi pod nogi.

Weszłam w piękny las liściasty, między ogromne klony, wiązy i graby, w których delikatnej zieleni słońce drżało, jakby w sieć szmaragdową złowione.

Po gałęziach gwizdały kosy.

Cała moja ścieżyna zaszła biegającymi po mej ziarnami światła i mieniła się przedemną, jak przepaska złotem tkana.

Na lewo, stromą ścianą, porosłą w wilcze łyka i dzikie płą tańce, opadał las w wąwóz zrazu, potem w dolinę, pięknie rozjaśnioną w sobie, wolnym ku błękitowi oddechem. U spodu jaru grały niewidzialne strumienie, a wilgotne ich opary chłodem były ku mnie. To Schlangenthal. Dolinka ta używa złej sławy. Powiadają ludzie, jako tu w gorące południa słychać podejrzane sykania i nader dwuznaczne szmery. Prawdopodobnie, jest-to zapomniany w lesie kocioł czarownic, w którym pełzają sprośne ropuchy i węże.

Brzegiem jaru bujały pierzaste paprocie i modre naparstnice, na giętkich prątkach ciężące pięknym swym kwieciami; spodem słały się mchy gęste, wilgotne, kształtów dziwacznych, subtelných, a obfitości niezmiernej.

Jedne z nich, misternie utkane, jakoby z włókienek jedwabiu, rozciągały szeroko zielone swoje makaty; drugie, rozdmuchnięte w piórka a strzępki, stały po mokradłach i dołkach, całe w rosach jeszcze; inne porębionymi blaszkami przylgnęły do pniów drzewnych i rozrzuconych kamieni; były i takie, co wyglądały jako czarodziejskie serwisy, ustawione umyślnie dla boginek leśnych, z puharków srebrnych, z drobnych czareczek wydłużonych misternie, z rozków wykręconych jak trąbki, na których złote chrząszcze i świetliki grają całą kapelą podczas Świętojańskiej Nocy.

Kiedy tak idąc z pochyloną głową, przypatruję się dziwnym onym zastawom, a gobelinom, ścieżyna moja, rzuciwszy łagodny cień klonów, wbiegła pomiędzy olbrzymie odłamy skał, strącone niegdyś skrzydłem przelatującej burzy z niedalekiego Brackberga.

Padły i legły, jako zwyciężone Tytany; jedno z nich czołem zaryły się w ziemię głęboko; inne, na wznak powalone, strzaskanem cielskiem swoim zasypały całe kolonije drobnych, leśnych krzewów, próbujących nieśmiało obejść te martwe bryły i młodemi wypustkami odetchnąć ku słońcu.

Błądząc po smętnym onym cmentarzysku, naraz posłyszałam przenikliwą nutę tyrolskiego „jodlera”. Przedemną szedł drwal z siekierą w ręku, z brzemieniem drew na plecach, a idąc — śpiewał.

Odzież jego stanowiła podłużna siwa dera, z otworem wpośrodku, do przełknięcia głowy służącym, z bokami opadającymi, jak ornat na piersi i plecy górala.

Przy takim odzieniu ramiona pozostają odkryte, a jeśli przy pracy nisko pochylać się trzeba, to cała dera robi lewo w tył i wtedy boki jej wiszą ponad ramionami. Wypadkowo tylko widziałam odzież tę w pogodę; zwykle bowiem używają jej górale w czasie deszczu i szarugi, dla zaoszczędzenia zielonych spencerów.

Za drwalem biegł chłopiec, pięć lub sześć lat mieć mogący, i ciągnął za sobą grubą gałąź z liściem zeschniętem, „Jodler” służył zapewne do ułatwienia drogi malcowi; bo lubo srodze rozczzerwieniony i zziajany, biegł przecież za głosem ojca zdobywszy swojej nie puszczał. Minęli mnie, mając się ku górze; ścieżka też moja dźwignęła się i w las poszła.

Las to był ciemny, iglasty, bez tchu stojący.

Uśmiechy dnia i słońca zostały poza nim daleko.

Chłodem wiało i strachem z tej gęstwy ciemnej, w którą zwarły się rozwichrzone jodły i świerki posępne.

Ogromne, gołopienne sośnice, z zielonemi wiechami u czubów, szły z niej w niebo, jak maszty i wieże; a pnie potworne, brodate, z posad dawno ruszone, sterczały w górę bezładną płataniną trupich korzeni, odkrywając w wywrocie onym swoim tajemnicze żuźle wygaszonego żywota.

Inne tkwiące jeszcze po dawnych gniazdach swoich a sadybach, obywatele bezgłowe i smętne, stały z piersią wypróchniałą i pełną wód dżdżowych, jako łzawnice prastare, oplakujące jakąś nieznaną nam wiosnę. Wkoło nich wiły się i próbowały żyć wypustki chorobliwe, zdrobniałe, zarażone ojców niemocą. Na jednym z pniów takich przysiadła pliszka świergotka i piła łyż z jego piersi, szczebiocąc coś wesoło i przechylając ku światłu drobną swoją główkę.

Nagle usłyszałam ogromny huk wody.

Na huk ten, a szum idąc prosto, zaszłam pomiędzy zręby skał, to zwalonych jedno na drugie, to ciśniętych w niebo jak z procy, których głębokim rozstępem przelatywał strumień spieniony. To Rettenbach.

Własne jego wody nie napoiłyby może nawet tych bluszczów leśnych, i mchów, i paproci, co się tu wieszają po skałach, ani tych jeleni, co przybiegają tu rankiem, grzmiąc kopytami po kamienistych jarach, i otrząsając poranne rosy, drżące na młodocianych krzewach.

Umie on jednak poradzić sobie. Nie pytając drogi, prosto z miejsca rzuca się na łąb na szyję w otchłań skalną, unosząc i sobą wszystkie górskie wody, jakie w tym skoku spotyka.

Otrząsnąwszy się potem, jak koń spławiony, potężnemi bryzgami piany, z nabytym pędem pierwszej tej swojej szalonej imprezy, puszcza się dalej na szumne loty po strąconych głazach tak wielkich, jak przewrócone kościoły; przelewa się przez cysterny wyżłobione kroplą jakąś, spadającą w długim wieków szeregu; po wypłukanych w skale niszach, framugach i arkadach, rzuca piany swoje i gniewy, aż przewaliwszy się całym tabunem fal swoich przez ławice w poprzek łożyska

spiętrzone, pluszcze, i szumi, i huczy, szukając ujść wolniejszych i mniej szalonych spadków.

A skały niosą w dal echa jakieś i skargi, a las stoi cichy, posępny, chłodny i słucha... słucha... Takim przedstawił mi się Rettenback w wezbraniu wód swoich, kiedy, kipiąc i wstrząsając wątłą kładką, na której stałam, przelatywał pod stopami memi, rzucając mi w twarz srebrne pyły odrzugów swoich szklanych.

Miejsce to, nasuwające na myśl „selva selvagia” nosi nazwę Rettenbach-Wildniss, a ciszą lasu swojego i zmierzchem, nieruchomością skał, chłostanych wodami temi, mówi wędrowcowi rzeczy dziwnie mocne i rzeczy tajemnie pełne.

Jeżeli nosisz w piersi ból jaki i tęsknicę, które na łańcuch brać musisz i smagać co dnia, aby nie krzyczały głosem, jeżeli postawiło na drodze twojej porohy nie do przebycia, jeśliś na widok mądrych urządzeń najlepszego z światów, uczuwał chętkę rozbicia muru własną swoją głową — tu przyjdź, i patrz, i słuchaj, i płacz... jeśli możesz.

Wenecja — Werona — Roveredo

Jak pielgrzym wschodu, co w meczetu progach zostawia pyły podróżnych sandałów, tak ja — rzuciwszy u brzegów Lido barkę i wiosłarzy — ku morzu szłam, pociągana tchem jemu dalekim.

Na prawo i na lewo — drobne, żółto rozkwitłe akacje pruszyły kwiatem skrzydlatym, a powietrze było ciche — i bardzo niebieskie. Mnie czar jakiś ogarniał i gorącość wielka; i czułam, jak myśli moje w głąb idą.

Naraz — zrobiło się oczom moim przejrzysto i szeroko — i powiały na mnie ogromne oddechy — i dusza moja zaszła świeżością i blaskiem.

Morze szło ku mnie z pośpiechem wielkim, westchnieniami mówiąc do mnie, pełne niecierpliwych szeptów i wewnętrznego żaru. A kiedym się zbliżyła, — przybiegło całą chyżością fal, i otrąciło się o ławicę piasku, tuż u nóg moich; a zobaczywszy, iż w zadumaniu stoję, wstecz poszło i cofnęło się w szumach, modrych ogniów pełne.

A kiedym jeszcze stała, nadbiegło znowu z głuchem natarczywym wołaniem. I zbliżyłam się na wołanie to i usłyszałam dziwną pieśń, pieśń — przepaści.

Takiej pieśni słuchając człowiek, po falach chodzićby mógł, i na powietrze tchnąć duchy mnogie, — i posyłać wichry, jako ptaki morskie — na wschód i na zachód słońca.

Bo w pieśni tej jest słowo potęgi, jakiej człowiek nie odgadł jeszcze w sobie. Ale odgadnie, i stanie w mocy, i dojdzie miary, na jaką wymierzony był duch jego na początku.

Lecz teraz, gdyby mnie kto zagadnął, jak wyglądało to morze, nad którym zasłuchana stałam, nie wiedziałabym co rzec, i jak je słowami pokazać.

Bo nie utworzył język ludzki słów takich, któreby się podejmowały w głębiach — i falami szły, — i uderzały o ziemię płaczem wiecznym — i odchodziły zawołane, ku wysokościom swoim.

Wiem tylko, że cienie i blaski szły po niem, jak po obliczu żywym, — i że z goryczą wielką o brzegi biło, i pełne było głosów mdlejących i ostatecznych westchnień.

I podobnem było morze to rzeczom smutnym a mocnym i rzeczom zakrytym przed oczyma naszymi, dla wielkiej rozpaczycy swojej.

I było podobnem do miłości — z drgnień błękitnych na najgłębszej głębi; i do nienawiści podobnem było z pian i z mętnych zapędów, i z szelestów węzowych.

Wielkim poetą był Bóg, kiedy stwarzał morze.

On uczył je ciszy, jako niemowlę swoje — i ryku — jako lwa puszczy.

A teraz ludzie tu chodzą myśleć w głąb i wzwyż; a inni przychodzą puszczać oczy, jak mewy głodne, po dalekości jego; i odejdą ci i tamci — i pomrą. A morze przyjdzie pytać o nich u brzegów; lecz pątników jednodniowych ziemi — kędyż imiona zakryte są, przed prędkim wichrem zapomnienia?

Cudzego głosu było potrzeba i cudzej dłoni, żeby mnie wstrząsnąć i przebudzić i przywołać z tego zapatrzenia się w głębinę.

Bom poraż pierwszy widziała coś tak wielkiego, iż można z tern było dusze zmierzyć.

A tak — odeszłam cicha, odciskając ślad stopy na mokrym piasku, aby fala, gdy przyjdzie, mogła coś zabrać ze mnie.

Gwar życia kąpielowego nierychło mnie ocucił w powrocie. A już brzeg morski rozkwitł tu był, jakoby wodnych tulipanów mnóstwem, które w kolorach swoich pod słońcem stały i chyliły się i mieszały z wodą — i nikły — i znów wytryskiwały w oddali, jak fontanny tęczowe.

Gdybym gustu do mitologii nie zgubiła kiedyś z kretezem, czytając klasyków naszych, powiedziałabym, że były to oceanidy, albo nimfy wodne; lecz teraz, muszę sic wyrzec tej pięknej nazwy, i po prostu przyznać, że to były pływaczki kąpiące się w morzu.

Jedne z nich zarzuciwszy na sznur wyciągnięty nagie swoje ramiona, dały się unosić wód biegowi, jako nenufary mdlejące, główką w tył przechyloną dotykając fali.

Inne — rzucały się do pływania namiętne, gwałtowne; a przezroczyta wód gaza, zdradzała ich gibkie wygięcia i ruchy zuchwałe — i rozsuwała się przed wzdętą pierśią — i zamykała za pluśnięciem stóp drobnych.

Jeszcze inne — stały w miejscach płytkich, skulone, nieradne, nieumiejące zapragnąć wrzuseń szerokiej przestrzeni i swobody. Plecami odwracały się one do nadbiegającej fali — i widocznie — za wielkiem było dla nich morze.

Kobiety to, co z każdej głębiny życia umieją zrobić sadzawkę zielonym mułem zarosłą, gdzie się pluszcza — kaczki.

Temperament jest tu zdrajcą, chwytającym niespodzianie na ostatnim stopniu drabinki z kabin wodącej. Podstrzega — i wydaje — jako mówiące zwierciadło.

Patrz, oto jedna z pływaczek zstępuje do wody z wolna, świecąc różową nagością wahającej się stopy w sandańku z kukurydzowego łyka.

Zasłania się ona rękoma, iż słońce patrzy na nią; włosy jej, zwinięte wysoko, odkrywają piękny łuk pochylonej szyi, wzrok z natężeniem na wodę zwrócony, uśmiech zalęknienia na ustach.

Tuli się ona w sobie i zstępuje niepewna — z urokiem wielkim dla oczu.

Patrz, przeciw niej w górę biegnie szybko inna, sypiąc iskrami kropel rześzystych, wydatna rzeźbą ciała, świeża wzruszeniem. Fala goni za nią spragniona, rozkochana. Ale oto już i ciebie ogarnia pokusa rzucenia się w morze.

Jest coś rozkosznego w tem oddaniu się potężnym uderzeniom fali; w tem wyciągnięciu ramion do czegoś, co jest ogromne i tajemnicze, w tem zmieszaniu istoty swojej z szumem i odpryskiem wód, łamiących się na piersi, jak kryształ pęknięty.

Pieszczota w tem ludzka prawie — i upojenie wielkie.

Wracających z kąpeli — zaczepiają drzew cienie, przekupnie owoców i muszli.

[M. Konopnicka, *Wrażenia z podróży*, Warszawa 1884, s. 3-7, 12-18, 82-85; interpunkcja oryginalna, pisownia nieznacznie zmieniona]